

redakcja

redaktor naczelny

Bruno Lef Lewin

redaguje zespół

Karol Pęcherz

skład i oprawa graficzna

Kamila Iżykiewicz

www.magazyn-cegla.net

kontakt

fink2go2.pl

CEGLA

NR 6 WRZESIEŃ 2005 MAGAZYN MATERIAŁÓW LITERACKICH



Lonesome Gaelerth chce mówić'

Niedziela otwiera się zapachem patroszonych
śledzi. Tu, w malej, zielonej osadzie, uległość
ma swój niepowtarzalny smak.

Dziewczynki, w sukienkach jaskrawych jak
choinki w mallach z dużego miasta, pukają
do drzwi kościoła. Smród z otwartych ran
dosięga nas przy modlitwie.

Plimsoll line, Plimsoll line śpiewają rybacy.
Strach zakotwiczył ich w zatoce, a jedyne
wyjście zaczyna się i kończy w morzu.

Plimsoll line, Plimsoll line śpiewają wieśniacy.
Czy to dla nich zaczyna się i kończy wszystko?
Czy tutaj, gdzie dosięga nas tak wiele znamion?
Czy tutaj, w tej malej, zielonej osadzie poniżej

Plimsoll line, Plimsoll line?

Marcol

Pan ALLEY

Na samym początku połamię język, reszta złamie się
sama i zacznie mówić jak świadek koronny, już trup.
Przeszłość można wymyślić, albo zapomnieć. Budzi
mnie pełny pęcherz i jakaś nostalgia. Za oknem ciągle

bez zmian: zima trzyma się wszystkiego. Nie jadam
brudnymi sztućcami, nie piszę bez cenzury. Na pustej
kartce kolejność ustalił przypadek, w głowie
i w żołądku wszystko mam poukładane. Mam dar

przepowiadania sobie najgorszego. Ostatnie
kuszenie przed północą: leży w przezroczystym
śniegu i udaje, że śpi. Kiedyś oddałaby wszystkie
pieniądze, żebym ją wyjął jak ziarenko piasku

z oka. Na prześcieradle znalazłem włosy łonowe
i rozplakałem się jak dziecko. Czasami tak potrzebuję
kobiety, że staję się gwiazdą porno i grzeszę, a potem
strach mnie kołysze jakbym był dnem jeziora.

WIERSE Z WITRYNY
www.magazyn-cegla.net

Fragment wielkiego dzieła sztuki podrealnej „Bomba logiczna”

Bruno
Lef
Lewin



Gramatyka to niewidzialny upiór każdej refleksji

Refleksja to widzialna dusza prawdziwej sztuki

Sztuka może być tylko działaniem (najlepiej niewidzialnym)

Działanie sztuki winno się dokonać poza cieniem gramatyki

W oku cyklonu pociemniałej sterty

Być gramatycznym to przeinaczać bycie

A jeśli refleksja to poza cieniem gramatyki

W oku cyklonu pociemniałej sterty

Dopiero tak przygotowani możemy stworzyć godny gabinet dla Ontologicznej Próżni

Dopiero tak przygotowani możemy czekać na lawirowanie prawdziwej sztuki

Podrealizm nie jest siostrą gramatyki

Wstecz wzdłuż ulicy Podrealizm jest wszechobecny



Urodził się w 1969 w Łodzi. Studiował filozofię i polonistykę w Poznaniu. Mieszka w Koziegłowach koło Poznania. Wydał m.in. tomy *Negatyw* 1994, *Ulica Gnostycka* (1997), *Widoki* (1998) *Drugie dotknięcie* (2001), *Graffiti* (2001), *Synne i świetne* (2004). Przygotowuje do druku zbiór opowiadań pt. *Kemping*.

wielka mała proza

Śluchałem w łóżku beznadziejnego techno.
Tak beznadziejnego, że nie mogłem się oderwać –
ten sam kawałek dwadzieścia dwa razy.

Welcome, Welcome, Welcome, Welcome...

Wcześniej kochałem się z moją panią –
w milczeniu, to znów wykrzykując świństwa.
Potem długo nadzy leżeliśmy na materacu.

Za oknem padał śnieg,
wszystko wokół tonęło w białym puchu.

Tam mieszka świnia, podgląda mnie –
powiedziała, wskazując okno naprzeciwko.
Nie wiem dlaczego, zaczęliśmy się śmiać.

Wracając poczułem się nagi.
Jakby pijanego wyrzucono mnie na ulicę.
Jakbym był powłoką, pod którą nic już nie ma.

Wcześniej śmiejąc się piliśmy wino.
Niepostrzeżenie staliśmy się jednym.

Krystian Andrzejewski

obok: obca kobieta

Można zmieścić ją w zaciśniętej dłoni
Rdzawa kolejka w której tunelach dorastałem
Rozgniata zdarzenia w nic nieznaczące kulki czasu
Po prostu śpiewam a potem tańczę
Rytmem jest trzask rozdeptywanych ślimaków
No i po co wychodzisz o tak mętnej porze
Między kominy dotykające policzki lepkimi dłońmi
Czarne huśtawki z tamtych koszmarów
Pamiętasz smolę wstydu na spodenkach?
I bose stopy w które
Powietrze wbijało zimne jak knajpiany parkiet pióra
Rozpływająca się plama potu to jest dorosłość
Żaden sen żadna rozkosz ani ucieczka
Jaskrawe języki aptek
Można zmieścić ją w zaciśniętej dłoni

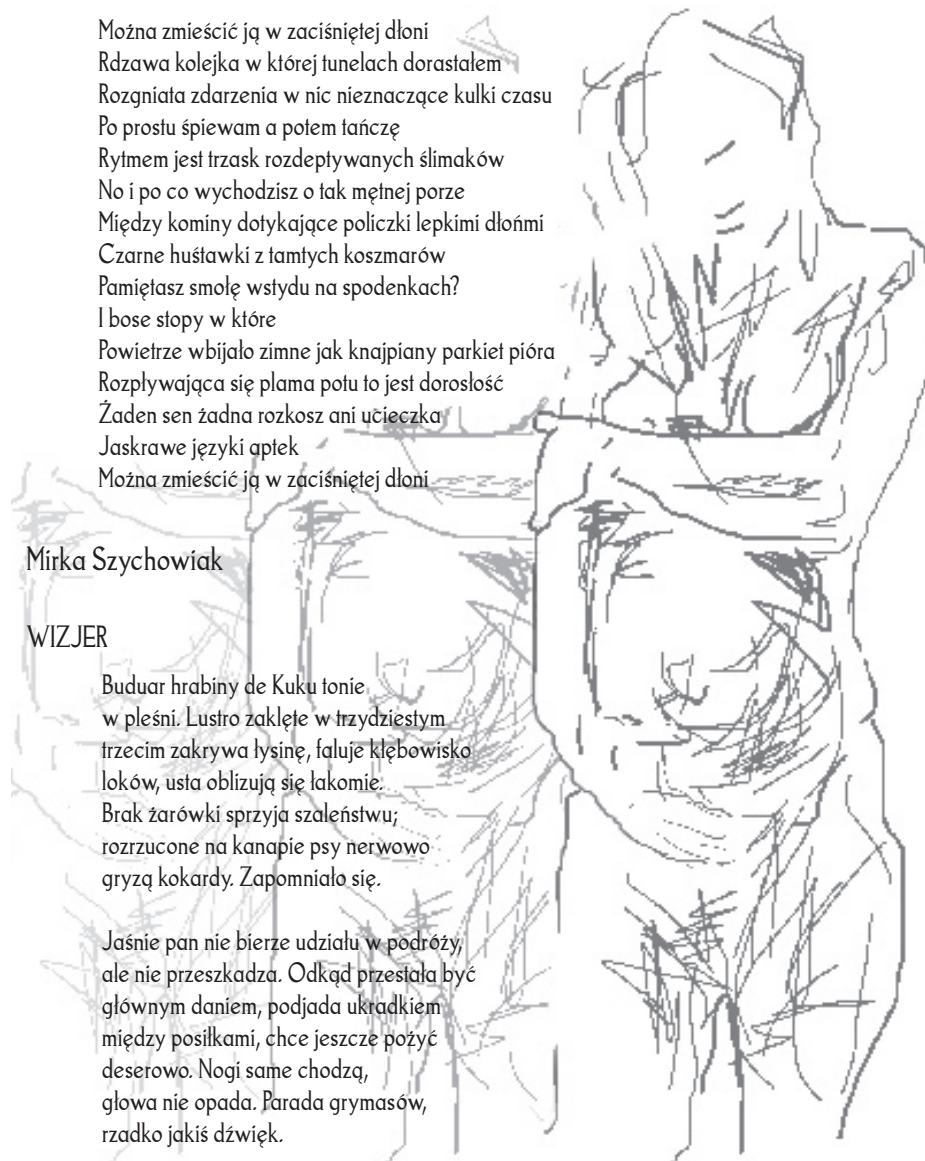
Mirka Szychowiak

WIZJER

Buduar hrabiny de Kuku tonie
w pleśni. Lustro zaklęte w trzydziestym
trzecim zakrywa łysinę, faluje kłębowisko
loków, usta oblizują się łakomie.
Brak żarówki sprzyja szaleństwu;
rozrzucone na kanapie psy nerwowo
gryzą kokardy. Zapomniało się.

Jaśnie pan nie bierze udziału w podróży,
ale nie przeszkadza. Odkąd przestała być
głównym daniem, podjada ukradkiem
między posiłkami, chce jeszcze pożyc
deserowo. Nogi same chodzą,
głowa nie opada. Parada grymasów,
rzadko jakiś dźwięk.

Śmierć podgląda ich przez szparę
w suficie, czasem parsknie rozbawiona



Grzela

narkotyki narkotyki

pamiętaj nigdy nie bierz nic od nieznajomych pamiętaj żadnych cukierków lizaczków żadnych soczków nie bierz ostrzegała mnie matka kiedy byłem trochę młodszy pamiętam jak zakłęcie powtarzała narkotyki narkotyki prawdziwy strach w jej oczach prawdziwa matczyna troska pamiętam jak w drodze do szkoły z niepokojem oglądałem nieznajome dłonie przechodniów i udzielał mi się ten strach i szedłem coraz szybciej coraz szybciej prawie już biegłem ze łzami w oczach a każda dłoń jakby częstować mnie chciała w każdej dłoni soczki lizaczki cukierki

i nieznane mi straszne głębokie kieszenie w czarnych płaszczach starszych panów cóż mogło się tam kryć? wszędzie widziałem narkotyki narkotyki pochowane w tych kieszeniach pod kapeluszami gdziekolwiek w szkole było jeszcze gorzej na przerwach bałem się wychodzić na dwór bałem się starszych chłopców ich dłoni i dziwnego śmiechu nie sikałem w szkolnej ubikacji nie robiłem zakupów w szkolnym sklepie narkotyki narkotyki nawet klamki mogli tym wysmarować

tymczasem podczas mojej kilkunastoletniej przygody z edukacją nikt nigdy nie poczęstował mnie kwasem parokrotnie byłem kopany wiele razy poniżano mnie i pluto mi do zeszytu ale nikt nigdy nie dał mi kwasu za frajer żaden z moich znajomych nie padł ofiarą dilerów nikt z mojej szkoły nie zjadł trefnego cukierka nikogo nie poczęstowano zatrutym lizaczkiem

gdyby matka uczyła mnie walczyć potrafiłbym walczyć ale matka jej prawdziwa matczyna troska kazała mi się bać umiem więc bać się bać się obcych dłoni nieznajomych twarzy zatłoczonych ulic i udziela im się ten strach kiedy jak kójca mantra narkotyki narkotyki wibrują w mojej krwi

WSZYSCY TAŃCZA

Na polu namiotowym w Mulhose we Francji
plakaliśmy nad Lizys Platona.

Wokół w najlepsze trwała pedalska balanga.
Byliśmy tak pijani, że młody Cygan w białych butach

z pozłacanymi czubami i w kowbojskiej kamizelce
musiał nas zawlec pod prysznic.

Nigdy nie zapomnę jego zepsutych zębów.
Jak można mieć tak piękne ciało i tak zepsute zęby?

Jeszcze jedna tajemnica tego świata.

A kiedy dzięki młodym Niemcom,
którzy na stacjach benzynowych kupowali wyłącznie szampana
i gazety porno, w końcu dotarliśmy do MontPELLIERE,

okazało się, że jest za późno –
ktoś zajął nasze miejsca przy zbiorze winogron.

Wtedy poczułem, że mógłbym zamieszkać gdziekolwiek.
Upalonym Niemcom było obojętne, dokąd jadą.

Lyon i zamki na wodzie? – nie ma problemu!

Na plaży w Marsylii leżeliśmy na materacach, patrząc w niebo.

W najpiękniejsze niebo, jakie widziałem.
Teraz siedzimy w knajpie, pijemy kawę,

bredząc o ubezpieczeniach, kredytach, cenach nieruchomości.

Z dwojga złego wolałbym płakać nad Platonem.

Stało się: nie mam ci nic do powiedzenia.
Na skrzyżowaniu machasz na pożegnanie –

mam nadzieję, że już cię nie zobaczę.

To nadzieja, która przynosi ulgę.

Jesteś jeszcze jednym zgubionym kłosem pamięci.
Jeszcze jedną twarzą do wymazania.

Tuj, Tuja, Tuje

Ścinam jedna po drugiej szyki butelek
do rana po mnie krążysz i ja się zgadzam
gdzie ja wrosło w kość,
tam teraz plac zabaw i wieżyczka kościota;
kontuzjowane części ciała, prognozy,
że mówić się będzie ciszej
i inne listy, pisane z powodów niżej wymienionych,
wszystko znalazłem u ciebie w piwnicy.

Też ulicę, jej siostry zakamarki,
stare wyrobiska, z jamkami jaskótek brzegówek,
wszystko znalazłem u ciebie w piwnicy.

Kąt by twarz zmienić, z uśmiechu na grymas,
zdjąć jętkę ze sztucznego włosa i powiedzieć: leć.
Zszedłem w to nic i znalazłem u ciebie:
tusze do rzęs, tuję, powój, cydr.

To ciemniej, w żołądku masz kamienie, wiem,
że składasz się z matki i syna,
języki lodu suną przez dolinę,
żłobią ją w U, zszedłem i znalazłem u ciebie:
obce kości na konopnej linie.

Ur. w 1971 r. poeta, buddysta, czasem muzyk. Zwycięzca konkursu im. Jacka Biereżina (2001). Mieszka w Poznaniu. Autor tomów: *Dolna Wilda* (2002) oraz *Wiersze dla Róży Filipowicz* (2004), w przygotowaniu poemat *Th* (wyd. Biuro Literackie).



¹⁶ Tamże, s.124

¹⁷ Tamże, s.123

¹⁸ Goffman E. 1987, Charakterystyka instytucji totalnych, s.154

¹⁹ Nowak L. 2000, Gombrowicz. Człowiek wobec ludzi, Warszawa: Prószyński i S-ka.

²⁰ Tamże, s.159: „W instytucjach totalnych kary i przywileje są specyficznym dla nich sposobem organizowania życia.(...) Istota tego systemu polega właśnie na łączeniu względnie małej liczby przywilejów z określonym, racjonalnie, uzasadnionym celem i na wyraźnym uświadamianiu zależności między nimi wszystkimi członkom instytucji.”

²¹ Gombrowicz, Bakakaj, s.122

²² Tamże, s.123

²³ Goffman E. op.cit.s.171: „Jednym z argumentów używanych przez oficerów marynarki na rzecz stosowania kar cielesnych było twierdzenie, że można je egzekwować natychmiast. Ponadto, nie zabierają one cennego czasu i trwają do ostatniego uderzenia. Stosowanie innych kar sprawiałoby kłopot i powodowało dużą stratę czasu, a także niepotrzebne wyolbrzymianie ich znaczenia przez marynarzy”

²⁴ Tamże, s.154

²⁵ Tamże, s.155

²⁶ Gombrowicz, Bakakaj, s.115

²⁷ Tamże, s.118:

- Może by użyć pana Zantmana – mruknął Smith, przypatrując mi się z nietajoną złośliwością.

A wie pan, to niezły pomysł – zawołał kapitan – Użyjemy pana Zantmana. Jest jeszcze świeży. Jeszcze nie poczuł mnie dotąd – najlepiej poczuje mnie na własnej skórze...Racja – to będzie najprościej

- (...) Zmajstrujemy wielką wędkę, wbijemy na haczyk pana Zantmana i złowimy na tę przynętę wielką rybę głębinową. Ryba połknie pana Zantmana, amy rozplątamy jej brzuch i wyciągniemy go jeszcze żywego, jak Jonasza. To będzie szpas.

²⁸ Tamże, s.118

BIBLIOGRAFIA

Foucault M. 2002, Archeologia wiedzy. Warszawa: De Agostini Polska

Goffman E. 1987, Charakterystyka instytucji totalnych w: Elementy teorii socjologicznej, Warszawa: Wydawnictwo Naukowe

Gombrowicz W. 1986, Bakakaj, Wrocław – Kraków: Wydawnictwo Literackie

Ingarden R. 1976, O poznawaniu dzieła literackiego, Warszawa: PWN

Nowak L.2000, Gombrowicz. Człowiek wobec ludzi, Warszawa: Prószyński i S-ka

Pacholski M. Słaboń A. 2001, Słownik pojęć socjologicznych, Kraków: Wydawnictwo Akademii Ekonomicznej w Krakowie

Szacki J.,2002, Historia myśli socjologicznej, Warszawa: Wydawnictwo Naukowe PWN

Metaforyczność fabuły, choć niewątpliwie nie ma charakteru definicyjnego, z powodzeniem realizuje definicyjne konotacje. Goffmanowska teoria precyzuje „Zdarzenia na brygu Banbury”, nadaje literackiej historii głębszy wymiar socjologicznych zależności *instytucji totalnej*.

Zaznaczamy raz kolejny, iż zapewne nie było świadomym celem polskiego pisarza, by ilustrować *instytucje totalną*, nie ma ku temu żadnych dowodów, jednak tekst traktujemy tu odrębnie od intencji autora, a skupiamy się wokół interpretacji nie jednego tekstu lecz dwóch, semantycznie sąsiadujących.

Oba teksty w wielu miejscach przytaczają sobie, podają sobie dłonie, ponieważ ukazują te same aspekty *instytucji totalnej* – mówiąc językiem Goffmana, a egzystencji życia na handlowym brygu - jakby wołał zapewne Gombrowicz.

Jaki język jest ciekawszy, zależy już od indywidualnych gustów.

Może nadszedł złoty wiek na tworzenie eklektycznych form, jak czyni to ze znakomitym skutkiem, choćby nasz rodzimy socjolog - Zygmunt Bauman.

PRZYPISY

¹ Gombrowicz W. 1986, Bakakaj, Wrocław – Kraków: Wydawnictwo Literackie, s.123

² Foucault M. 2002, Archeologia wiedzy. Warszawa: De Agostini Polska

³ Goffman E. 1987, Charakterystyka instytucji totalnych, w: Elementy teorii socjologicznej, Warszawa: Wydawnictwo Naukowe

⁴ Gombrowicz W. 1986, Bakakaj, Wrocław – Kraków: Wydawnictwo Literackie

⁵ Goffman, op.cit.

⁶ Tamże, s.152

⁷ Tamże, s.151-152

⁸ Gombrowicz, Bakakaj, s. 117

⁹ Tamże, s.119

¹⁰ Tamże, s. 116-117

¹¹ Tamże, s. 153

¹² Tamże, s.116

¹³ Tamże, s.121: „Przedtem graliśmy w domino, w durnia, w chlusta i w klipę i śpiewaliśmy na przemian stare kuplety z operetek. Potem przeglądaliśmy kalendarz hodowli koni. Przez kilka ostatnich dni – rzekł szczerze Smith, połykając luźne przekleństwa – rzucaliśmy gałkami z chleba w pierońskiego małego robaczka, którego wyciągaliśmy spod szafy. Ale to nam się przejadło. Potem zaczęliśmy fiksować się, pan wie? – wpatrywać się w siebie – kto dłużej wytrzyma. Jak zaczęliśmy wpatrywać się w siebie, tak zaczęliśmy kłuć się szpilkami – kto dłużej wytrzyma. Teraz ciężko nam przestać, a kłujemy się coraz mocniej.”

¹⁴ Gombrowicz, Bakakaj, , s.116

¹⁵ Tamże, s.126

lipiec

Otrzymał ten list siedziałem przez godzinę na sofie w biurze Lidwella, zastanawiając się czy nie kupić rewolweru i nie przepuścić światła dziennego przez wydawcę. Później już tylko kamyki, chrząst żwiru, taki pomysł żeby już tylko gotować, patrzeć jak jesz i mówić „tak, to jest tak właśnie”. Oddzielać to co ma śmierć w sobie, od tego co jej nie ma. Poszedłem w stronę domu. Powiedziałem ho, ho na widok rowerzysty. Przez moment stałem przed bramą, w pełnym słońcu, ani człowiek ani zwierzę, obecny, całkiem po prostu.



Słuchaj Tomasz

Jurgen wpadnie o świecie i wiesz trzeba posprzątać to cholerne mydło ścinki cebuli z podłogi trzeba wyczyścić lustro on tak lubi żeby było czysto i żeby ładne ubranka leżały w szafkach na swoich miejscach

(oderwij metki bo jest jasne że rozpozna ścieżki i nie będziemy mogli mu powiedzieć innym razem Jurgen innym razem)

schowaj masło do lodówki resztki sałatki też zamknij ją dobrze niech nie topnieją lodowce proszę zachowuj się tak jakbyśmy byli żywi

po co ma mówić o tym jak zapatrzył się raz na ulicy i góry stały się górami niebo niebem i że masz brzydko złamany palec wiem tak jak on że można coś z tym zrobić tu przy tym stole gdzie najwięcej okruszków skulić się i liczyć je liczyć



edward pasewicz



I cisza zmęczonych głosek po *pogo*
przy tam-tamach; po strzelistym
koncercie umiarkowanych gitar
jestem sobie punkcikiem w
rozwlekłej *czasoprzestrzeni*,

pofatdowanej, wśród (wobec? wbrew?)
przecinających się ścieżek domystów,
pofatdowanej jak... ..musk/mózg.
Klassycy i tradycjoniści *mófia*,
że wystarczy się rozejrzeć dookoła,
tzn. *doookooota*, żeby opisać to,
co jest na najbliższej niwie

(*nyywie.*); czy chodzi o innych,
czyli nas, czy chodzi o krajo *brass*??

Piję dlatego, że składam w ofierze
swój mózg.

Zobaczcie, jakie sobie znalazłem
wyttumaczenie:

albo *tyż* przekład
z ich na *ich*.

Klassycy powinni się zająć sobą,
ogniem siebie, a nie całym
światem, wpadającym światłem
do oka, odgrodzonym światem.

Klassycy na zdjęciach mają
drobne, truskawkowe źrenice

i uśmiech szczerzy jak
szubienica.

Klassycy won? raus?
a może urra?

2.

Ta część zaczyna się od cyfry 'dwa' (2.)
Zawsze w dzienniczku ucznia miałem 'dwa' (2.).
Który ptak równa się 'krra'?

Co autor rozprut sobie w myśli?
Gdzie autor chciał nas wywieść,
jeśli nie w pole,

i jaka szczytna idea
doprowadziła
do powstania
tego wiersza;

w którą stronę wiersza
chciał nas powieść?

Dzieci! Bądźcie grzeczne!

Przemawiają przez autora diabły i anioły!
Studiujcie na ATK demonologię i angelologię,
aby dokonać kompetentnej analizy i *intehphetacji*!
Pozdrowienia od kałuży moczu!
Przed chwilą doznałem objawienia
patrzac na zdezelowaną pitkę nożną
obok huśtawki, dzieci!

„Na porządku dziennym jest ubliżanie w różnej formie. Nieustannie wymusza się wyraźne okazywanie szacunku personelowi.”²⁴ Później zaś rozwija:

„Nowicjusz przychodzi do instytucji z ukształtowaną już w pewien sposób osobowością i powiązaniami ze środowiskiem, które pozwalały jej istnieć. Więzi te zostają przecięte już w początkowych fazach pobytu w instytucji, kiedy to jego osobowość zostaje poddana systematycznemu, choć często niezamierzonemu procesowi degradacji.

W języku jednej z najstarszych *instytucji totalnych* nazywa się to procesem poniżania, znieważania osobowości. Ich wynikiem są radykalne zmiany w przekonaniach i postawie moralnej prowadzące do liczenia się przede wszystkim z interesem własnym i postawą najważniejszych w nowej sytuacji osób.”²⁵

Odnosnie pierwszego cytatu, Kapitan Clarke również ma potrzebę okazywania mu szacunku i wymusza to na swojej załodze:

„Panie Smith – rzekł kapitan dłużyąc palcem w ucho – rozkaż pan, by załoga zawołała trzykrotnie: Niech żyje kapitan Clarke, hip, hip, hurra!”²⁶

Zaś, co do drugiego cytatu, to taką formę deprywacji osobowości dostrzegamy w „Zdarzeniach na brygu Banbury” w momencie, kiedy Smith i Clarke poniżają Zantmana, karząc mu opuścić skarpetkę, a wcześniej knując szyderstwa przeciw niemu.”²⁷

Zantman jest świeży, jest nowicjuszem dlatego też jest smacznym kąskiem dla kapitana i porucznika, pomimo, iż jest on pasażerem, a nie jednym ze stałych członków załogi.

Światowi personelu Goffman poświęca sporo miejsca. Ukazuje on relacje jakie zachodzą między personelem, a podwładnymi. Wskazuje na przedmiotowy charakter traktowania osób podległych, co ułatwia kierowanie instytucją. Dochodzi zatem do rozbieżności między traktowaniem jednostek, a respektowaniem norm międzyludzkich. Rozbieżność ta zaś jest tłumaczona często celami oficjalnymi instytucji. Personel często zachowuje się nazbyt agresywnie kierując się stereotypami na temat podwładnych.

Tak jest w przypadku Clarkea i Smitha, którzy „używają sobie” na marynarzach, by zaspokajać swe dewiacyjne skłonności.

Kapitan Clarke krzyczy przecież:

„- więc każe – co? Wszystko mogę zakać! Do kroćset diabłów – ja jestem kapitanem! Te diabły poczną to – zawołaj pan którego z marynarzy.

- Marynarze wszyscy już czują to – rzekł Smith po chwili, nie kwapiąc się – wypuść na dłoń gumę, przpatrzył się jej dobrze i wsunął z powrotem do ust.
- Wybierz pan takiego, który czuje najmniej – niecierpliwł się kapitan Clarke.
- Prędeż – chce pokazać panu Zantmanowi... Wymyśl pan coś, panie Smith. Pan jest dość ograniczony. Przypomnij pan sobie ziemię Baffina i fokę”¹

Poprzez zestawienie odpowiednich komentarzy, cytatów i fragmentów stworzyliśmy zamierzony pryzmat socjologicznie zrelatywizowanej interpretacji tekstu literackiego.

Tekst Goffmana ma wiele wspólnego ze „Zdarzeniami na brygu Banbury”, a próba opisanie *instytucji totalnej*, czy to w ramach dyskursu naukowego, czy literackiego, niesie za sobą treści zbliżone, że zestawienie ich rodzi ciekawe i nowe interpretacje.

Kiedy indziej zaś skarży się:

„Nuda, panie. Morska nuda.(...) Niemiła rzecz – nuda. Co? Niemiła. Nudno. Nie wiadomo co.”¹⁶ Albo: „Jakie są obowiązki kapitana na statku: musi on wymyślać, bo inaczej wszystko by się wściekło z nudów”¹⁷

Na ten egzystencjalny aspekt w *instytucjach totalnych* zwrócił uwagę Goffman, który stwierdził, iż wewnątrz takiej instytucji będą panowały inne motywacje do pracy niż na zewnątrz. Do takich motywacji zalicza symboliczne zapłaty, unikanie kar i represji, jak i również walkę z nudą.¹⁸ Jednakże sposób spędzania czasu w goffmanowskiej pracy nie jest rozwinięty, jest jedynie nadmieniony. W opowiadaniu Gombrowicza zaś stanowi poważny element osi fabuły, która ukazuje człowieka wobec monotonnej natury, a więc ma wymiar niejako egzystencjalny, głębszy. Zatem można by polemizować z tezą Leszka Nowaka¹⁹, iż literatura zwykła poruszać się po powierzchni problemu, że nauka jednak dąży głębiej i bardziej systematycznie. Jak widać stwierdzenie to może być podważalne i choć, jako uogólnienie, mogłoby mieć rację bytu, to jednak w jednostkowej praktyce nastroczać może jedynie trudności, wszak będzie odnosić się trzeba do gustu odbiorcy, który wyraża swe doznania względem tekstu.

Alte powróćmy do głównego wątku rozważań.

Unikanie kar i zdobywanie nagród są podstawowymi zasadami funkcjonowania grupy podwładnych.²⁰ Właśnie te czynniki organizują życie członkom *instytucji totalnych* według Goffmana.

Jak jest na Banburym?

„Majtkowie przerwali pracę, by się pogapić, czym ściągnęli na siebie okropne przekleństwa Smitha.

- Łajdaki – wydierał się przed zbitą i milczącą gromadą – wielmożni panowie! Wielmożni panowie! Thompson! Ja z tobą pogadam dziś wieczór! Ja z tobą – Thompson – pogadam – dziś wieczór – zobaczysz”²¹

Smith i Clarke, czyli personel jakby chciał Goffman, trzymają załogę mocno w ryzach. O ile drobne nagrody pieniężne otrzymują marynarze od Zantmana, to porucznik jak i kapitan, wolą karać za niesubordynację, niż wzmacniać pozytywne zachowania nagrodami.

Smith często powtarza, iż „karność musi być!”. Kapitan Clarke wymyślił również śpiewanie jednej frazy w kółko, aby zająć czas wolny załozde, a zarazem jako formę karności. Smith tak tłumaczy zalecenia swojego przełożonego: „Co zaś do wersetu: - Ryby i morskie ptaki żerują za okrętem – to brzmi on jak wzór kaligraficzny i w istocie chodzi o to, by wypisać go w mózgach marynarzy perłowym rondem.(...) Marynarze nie mogą przecież szorować bez przerwy tego krr...prz... pokładu, wyszorowaliby go do cna. A karność musi być zachowana, te łajdaki muszą być trzymane w ryzach, kapitan więc wybrał to raczej, niż cośkolwiek innego”²²

Innymi metodami karanie są kopniaki, czyli kary fizyczne²³, i ubliżanie marynarzom.

Na ubliżanie i poniżanie zwracają uwagę obaj autorzy.

Goffman stwierdza:

3.

Trójkąt ma trzy wierzchołki.

Co by się stało, gdyby mężczyzna miał trzy członki,
a kobieta trzy pochwy?

Tajemnica wiary: ekierka mierniczego?

Na lekcjach muzyki grałem na trójkacie,
pomimo że miałem (i mam) 50 % utraty słuchu:
pół na pół, fifty-fifty. Życie jest sprawiedliwe;
tzn. natura jest sprawiedliwa, a przynajmniej
sprawiedliwsza od państwa. Przy takim
państwie rozprasza się światło metafizyczne?
Nawet czakramy wysiadają? Oko Bogga –
–epileptyka zachodzi mgłą i mistycy
średniowieczni wstają z grobów, aby
zapalić marijuanę i zostawić *sztacha*
papieżowi, który wypstryknie *pefa* na
Rzym; i Rzym sptonie, *akh*, ta
ręka dotknie szwu wszechświata!

4.

Teraz mamy do wyboru *Rzymską czwórke* albo
Tryptyk rzymski.

Wychodzę z założenia,
że każdy człowiek na ziemi
powinien mieć dedykowany
sobie przynajmniej jeden wiersz.

Chłopaki, przynieście wazelinę i wódkę!

Niestety, nie jestem gejem. Ani gejszą.

Niestety, moi koledzy nie są gejami.

Dlaczego wszyscy myślą, że jestem gejem?!?

A ja kupiłem sobie białe stringi;

zrobiłem zdjęcie *mojego* tyłka w stringach

i za pomocą Photoscopa zrobię montaż

mojego tyłka i *mojej* brody i

to będzie zdjęcie autora na tylnej

okładce tomu *Motta robali*.

Co autor miał na myśli?

Będę wołał Bogga–epileptyka o pomoc.

Oto przykłady wypowiedzi maturzystów na jednej
z klasówek:

a). Mitość jest tematem uniwersalnym, przewija się
przez wszystkie epoki w literaturze. Romantyzm
to epoka tajemnicza, przepętniona uczuciem
i spirytyzmem. Mitość może być platoniczna,
odwzajemniona. Mitość jest bardzo pięknym
uczuciem, lecz nieodwzajemniona może prowadzić do
katastrofy. W literaturze mitość pojawia się, np.
Pan Tadeusz – mitość Tadeusza i Zosii, *Konrad
Wallenrod* – mitość platoniczna.

b). Mitość w literaturze ukazuje się często. Pisarze
lubią pisać o mitości. Utwory te pisane są przeważnie
do ukochanej osoby lub też do ojczyzny. Mitość
występuje w różnych utworach jednym z nich jest *Quo
vadis*.

c). O mitości w literaturze można ale nie starczy
czasu więc napiszę o mitości w *Panu Tadeuszu*
Tadeusz główny bohater zakochał się szczerze
w Zosi, wychowawcy Telimeny.

Zaznacz prawidłową odpowiedź i zadzwoni pod numer
423 77 74, może Ci udzieli kredytu albo, nie wiem,
podwyższą ocenę?

Albo pod ten numer: 0 801 124 124; tam też udzielają
kredytów dla niewypłacalnych z gwarancją odesłania
na tamten świat – gratis.

Kończy się czwarta część nieprzeptaconej raty
wiersza.

5. (pięć czyli funf)

każdy nerw musi być mocny
jak żeglarska lina

umysł niech płasza jak drobinki
śniegu u wezgłowia

prędkości w przewiertach ludzkich
skupisk za siatką

twarzą lśnią wysoko postawioną
poprzeczka nędzy

za nią czai się cień błazna
to na dnie nieba

na widok krwi czujemy moc
zobowiązania

do dreptania za kulawym
czasem któremu

nikt nie odbierze prawa do
maskowania tropów

i pyta dokąd docierają
wyrazy dokąd

poptynety gówna za chwilę
wystąpi i sptonie

po raz kolejny potraci
go paluch wiatru

a wewnątrz co się tli li torf
epizodów i faz

:cze:-)

:spox?

[załącz obrazek]

PIOTR JANICKI UR. W 1974 R. W BIAŁYMSTOKU, MIESZKA
W WARSZAWIE. W PRZYGOTOWANIU TOMIK (WYD. ADWERS)

PIĘĆ WERSÓW

Gdy zamieszkaliśmy na naszej ulicy doganiałem trzydziestki.
Dzisiaj Warszawa jest jasnym miastem a Polska jest teraz niedużym krajem.
Lubię wyspy na których stoi latarnia oraz nie lubię wysp na których nie ma choćby jednej latarni.
Oto cztery wersy a każdy dobrze położony i piąty:
pamiętam jeden marzec; wybiegłem z domu na tąkę i wymiotowałem.

W PRZEJŚCIU

Coś podobnego,
nie czuję butów;
wałq o stopnie,
dę.

Zdumiewające, Basil Bunting
(Basil Bunting!) Nie Poznał Własnego Wiersza!

Czy ten William Butler Yeats
nie potrafił czytać, wszy
yscy od rana powari
iowali czy jak?

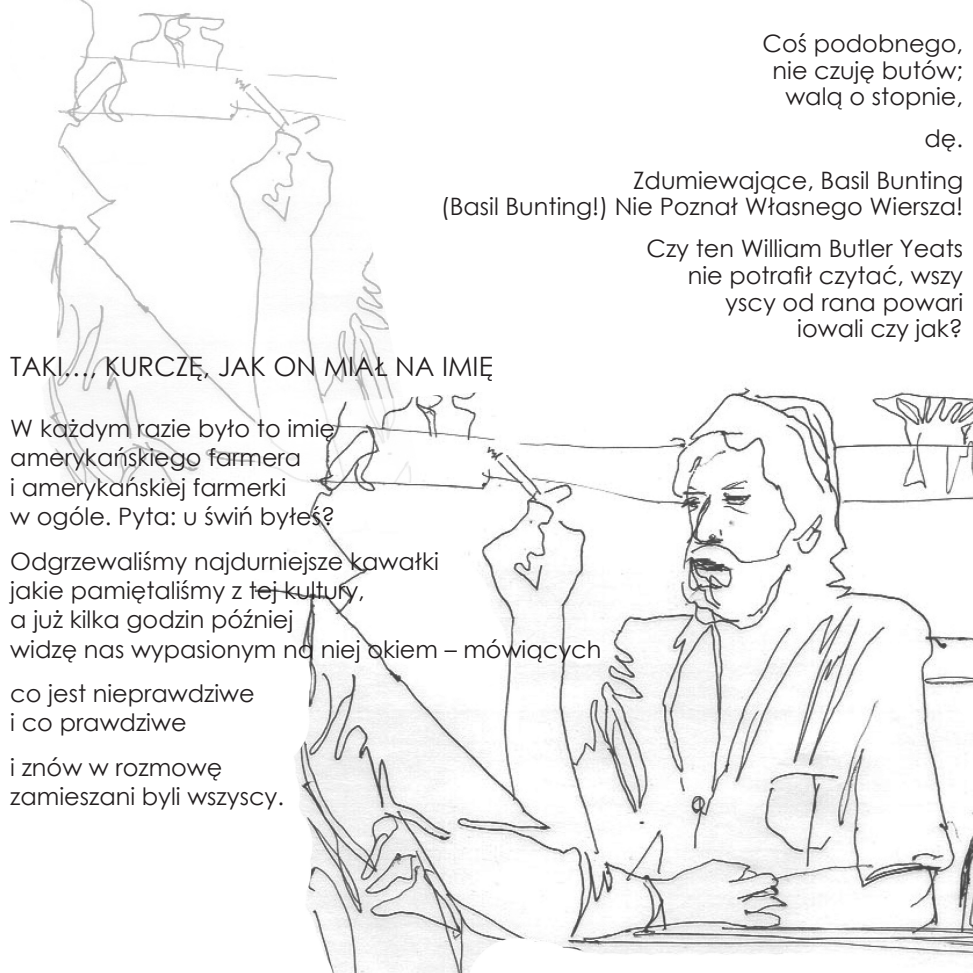
TAKI..., KURCZE, JAK ON MIAŁ NA IMIĘ

W każdym razie byto to imię
amerykańskiego farmera
i amerykańskiej farmerki
w ogóle. Pyta: u świń byłeś?

Odrzewaliśmy najdurniejsze kawałki
jakie pamiętaliśmy z tej kultury,
a już kilka godzin później
widzę nas wypasionym na niej okiem – mówiących

co jest nieprawdziwe
i co prawdziwe

i znów w rozmowę
zamieszani byli wszyscy.



„Jedną z najważniejszych cech *instytucji totalnych* jest podział na personel i podwładnych – podnosi Goffman – Personel czuje się wyższy i prawy, natomiast podwładni, przynajmniej w niektórych przypadkach, uważają się za niższych, słabszych, nędznych i winnych. (...) Nawet rozmowy między przedstawicielami jednej i drugiej grupy prowadzone są z określoną intonacją głosu. W rezultacie powstają i istnieją obok siebie dwa różne światy społeczne i kulturalne. Mają one wprowadzić oficjalne punkty kontaktu, ale poza tym są dla siebie nawzajem mało przenikalne. Jest rzeczą charakterystyczną, że sama instytucja i jej nazwa są do tego stopnia utożsamiane zarówno przez personel, jak podwładnych z personelem, że gdy któraś z tych grup mówi o celach lub interesach „instytucji” ma na myśli cele i interesy personelu.”¹¹

Taki podział na „dwa światy” będzie istniał także na brygu Banburym. Świat personelu, czyli w tym przypadku Clarke’a i Smitha, którzy to razem „grają w domino albo też siadłszy naprzeciwko siebie za stołem wyśpiewują stare kuplety”¹² albo uprawiają najrozmaitsze gierki między sobą.¹³

Wszystko to tworzy odrębność ich kultury od odrębności kultury podwładnych, którzy zazwyczaj czyszczą pokład. Kontakt między personelem, a podwładnymi zachodzi poprzez rozkazy i ubliżanie, a także poprzez Zantmana, który nie reprezentuje w zasadzie żadnej strony. Jest pasażerem-observatorem. Podwładni również mają swe obyczaje, tworzą własną kulturę.

Oto dla przykładu: „(...) ujrzałem czterech majtków, siedzących na pokładzie ze skrzyżowanymi nogami i wpatrzonych we własne stopy. Kiedy indziej zobaczyłem paru majtków wpatrzonych we własne ręce. Wieczorami zaś dolatywały mnie skandowane po całych godzinach wyrazy:

- Ryby i morskie ptaki żerują za okrętem”¹⁴

Te dziwne i różnorodne obyczaje są implikowane nudą. Na Banburym panuje wszechobecna nuda. Jest ona największym zagrożeniem na statku. Wszelkie działania są pozytywne dla całej załogi, ponieważ marynarze nie nudzą się i nie są sfrustrowani. Frustracja dosięga czasami Smitha:

„Na tym zasn... brygu nic się nie dzieje od rana do wieczora. Gdy patrzę na tę poręcz – uderzył ręką – i widzę, że ona ciągle połyskuje tak głupio – to patrzę i chciałbym wyskoczyć ze skóry. – Zaczął się skarżyć boleśnie, że wszystko jest głupie – głupie. Wszystko musi być wyczyszczone, każda rzecz na swoim miejscu, marynarze nic innego nie robią tylko szorują i czyszczą po całych dniach (...) Po cholere? Albo te ryby latające...”¹⁵



„Po pierwsze, całe życie ich mieszkańców toczy się w jednym i tym samym miejscu i podlega tej samej, jedynej władzy. Po drugie, we wszystkich fazach codziennej działalności ich członkowie pozostają w bezpośrednim towarzystwie dużej liczby innych członków. Wszyscy oni traktowani są jednakowo, muszą pracować razem i wykonywać te same czynności. Po trzecie, cały ich dzień jest ściśle zaplanowany, tak że jedna czynność w wyrażnie przewidzianym czasie przechodzi w drugą.(...) Wreszcie, po czwarte, poszczególne czynności są przymusowe i stanowią część jednego planu ogólnego, którego celem jest realizacja oficjalnych zadań danej instytucji.”⁷

Wydaje się, iż na Banburym czas i przestrzeń zorganizowana jest podług tych samych zależności.

Życie marynarzy toczy się „na” lub „pod” pokładem okrętu. Ta alienacja często jest tematem refleksji płynących brygiem. Oto na przykład porucznik Smith powiada do Zantmana:

„(...) a tu właśnie nie ma papy i mamy! Tu jest bryg, panie – bryg na morzu! Z dała od konsulatów! (...) Tu nie ma pierniczków ani ciasteczek, ani do chol... chciałem powiedzieć, że te... dyscyplina i koniec.”⁸ Później dodaje: „My tu się nie potrzebujemy krępować.(...)Nie ma pensjonarek. Ani konsulatów!”⁹

Żałoga zatem ma świadomość izolacji, odrębności od tzw. normalnego, świata.

W miejsce przestrzennej próżni tworzą swoją własną okrętową przestrzeń, opartą na wytworzonych przez siebie wartościach i obyczajach.

Podlegają oni również jedynej władzy. Na pokładzie frachtowca władzę dzierżą niepodzielnie kapitan Clarke, wraz ze swym podwładnym - porucznikiem Smithem.

Ich władczość jest w opowiadaniu zupełnie groteskowa i wyolbrzymiona. Staje się ona jednym z kluczowych tematów historii. Clarke, aby ukazać swą wyższość, wymyśla przeróżne tortury swym podopiecznym. Jednak aspekt władzy poruszamy w dalszej części, wszak będzie ku temu jeszcze stosowniejsza okazja.

Podobnie jak w charakterystyce Goffmana, tak i na Banburym, żałoga „pozostaje w bezpośrednim towarzystwie dużej liczby innych członków.” Jest ona także traktowana nad wyraz jednakowo. Smith mówi:

„Najtrudniej, to żeby nie kopnąć którego w tyłek – pan widzi, jak się nadstawiają.

Ps... kr... – a gdybym kopnął jednego, to musiałbym dla równości pokopać wszystkich bez wyjątku.”¹⁰

Marynarze razem szorują podłogę, śpiewają te same przyspiewki, zachowują się podobnie, co często zastanawia pasażera Zantmana.

Wszystkie starania Clarkea i Smitha prowadzą do osiągnięcia celu, czyli przewiezienia transportu ryb do odbiorcy i zachowania porządku na okręcie. Jest to cel oficjalny. Goffman rozróżnia cele oficjalne *instytucji totalnych* od celów rzeczywistych.

Na Brygu takimi celami rzeczywistymi mogłyby być na przykład zaspokajanie dewiacyjnych potrzeb Clarkea i Smitha, wyżywających się na żałodze.

Jola ciężko dyszała, usiłując dotrzymać mu kroku, kiedy mijali dolną stację wyciągu na Szrenicę. - Już teraz tak ładnie dyszysz? Ciekawe, jak ci to będzie wychodziło potem...

- rozmarzył się i potknął. Wywracając się, podciął jej nogi, a ona upadając, natarła pierściami na jego obleczone w sztruksy pośladki. No, no, no! - z rozkoszą jęknął w duchu.

- Coraz bardziej mi się podobasz, kochanie...

Miał 37 lat i dwie życiowe pasje, którym oddawał się jednocześnie, aż do utraty tchu: pisanie o miłości wierszy oraz jej uprawianie. Samo w sobie nie było specjalnie zaskakujące, że - starając się nie spłodzić przy tym dziecka - orgazmował i orgazmował, pomiędzy spłodzeniem jednej strofy, a drugiej. Nie on pierwszy i nie ostatni. Od innych poetów różniło go to, że łona swych partnerek eksplorował tylko i wyłącznie w górach, tylko i wyłącznie na łonie natury. Zawsze pod gołym niebem, nigdy na trzeszczącym schroniskowym łóżku, które nie posiadało dla niego żadnych walorów ni romantycznych, ni afrodyzjalnych. Poeta Zbynio seksował rzadko, ledwie kilkanaście razy w roku, a to ze względu na warunki pogodowe powodujące, iż w górach okres plenerowego seksobrania był nader krótki. Mimo iż był wzorowym antykomunistą, uważał, że ilość, choć skromna, przechodzi jakość.

A wszystko zaczęło się przypadkiem. Miał siedem lat, gdy rodzice zabrali go w Tatry. O kozicach wiele wiedział z książek dla dzieci. Okazało się jednak, iż była to wiedza niekompletna.

- A czemu ta duża kozica tak się huśta na tej mniejszej? - zapytał ojca Zbynio, przyszły poeta.

- To jest, synku, wielka tajemnica natury - rzekł tatuś z namaszczeniem, rozmarzonym głosem.

- Huśtanie?

- To nie jest huśtanie. To pan kozica bardzo kocha panią kozicę - wyjaśnienie ojca spadło na Zbynia jak grom z zachmurzonego nieba nad Giewontem.

Przez wiele następnych lat chłopak marzył, że kiedyś i on kogoś kiedy będzie bardzo kochał. W podstawówce ograniczył się do podglądania koleżanek w szkolnej toalecie, na początku ogólniaka napisał pierwszy wiersz o miłości. Do czynnej realizacji seksualnych marzeń przystąpił w klasie następnej. Nie chciał już dłużej bardzo kochać koleżanek tylko w metaforach i poetyckich hiperbolach. I tak, podczas jednej z dużych przerw, na szkolnym strychu doszło do inicjacji. Nie zasmakował jednak. Orgazm, orgazmem, wysokością, wysokością, ale zdecydowanie brakowało mu świeżego, górskiego powietrza.

Wciąż miał przed oczyma duszy kozice, które w międzyczasie zapewne zdechły w nieświadomości, że uczyły Zbynia poetą, a także wysokogórskim kochankiem. Nieestety, złośliwi krytycy i tępi czytelnicy, nie wspominając już o nastawionych jedynie na zysk wydawcach, spowodowali, iż niewiele tomików wydawał, a jeśli już, to w minimalnych nakładach. Tantiemy były zatem tak niskie, że nie pozwalały artyście na sekskursje w ukochane Tatry. Postawił na Góry Świętokrzyskie, a decyzję podjął po wyczytaniu u Hemingwaya informacji, iż porządny kobiecy orgazm jest porównywalny z trzęsieniem ziemi. Nie miał jeszcze zaufania do siebie jako orgazmodawcy, a o gołoborzach wiedział z geografii, iż często się obsuwają.

Poderwał koleżankę na tyle puszystą, by nie narzekała na wbijające się jej w plecy i pośladki kamienie - i pojechali. Niezbyt się udało. Gołoborze, owszem, poruszyło się,

**JAROSŁAW
KOLASINSKI**

Ur. w 1962 r. mieszka we Wrocławiu, funkcjonariusz Straży Granicznej, autor powieści Fala, publikuje w Internecie.

ale i nie tak, jak zaplanował, i nie w tym, co trzeba momencie. Będąc w owej chwili poetą kompletnie nagim - doznał bolesnej kontuzji. Jeszcze wiele dni później kwilił z bólu, bohatercko oddając mocz. To przeważyło, zdecydował się na Karkonosze - góry ani za niskie, ani za wysokie dla jego potrzeb. Miały tę dodatkową zaletę, że nieodległe były od Wrocławia, w sam raz nadając się na miejsce seksualnych potyczek. I tak rozpoczęła się epoka szczytowania u stóp szczytów górskich, lecz nie z góralkami. Stosunków płciowych z nimi nie miał od momentu, kiedy na otrzęsinach pewien docent wybił mu to z głowy. Naukowiec podając się za filozofa i historyka ruchu robotniczego, utrzymywał, czekając z przepicia, iż syfilisem Lenin zaraził się nie w Zurichu, lecz w Poroninie.

Wstał i pomógł Joli się podnieść. Korzystając z okazji poklepał ją po obfitym zadku opiętym tyrolskimi portkami. Wszystkie kochanki zmuszał do takich właśnie przebiegów. Importowane z południowych Niemiec krótkie, sznurowane gatki na szelkach stanowiły wielce go podniecający substytut erotycznej skórzanego bielizny. Poza tym z wykształcenia był germanistą.

Masaż tyrolskich pośladków tak bardzo Jolę ucieszył, że uśmiechnęła się i ukradkiem rozejrzała się wokół. Nie spostrzegając nikogo, zachichotała i położyła swą dłoń na „klejnotach” poety Zbynia.

- Za nisko. Przystań - skrzywił się.

- Co? Za nisko? Co ty, Zbyniu? To gdzie ty masz tę fujarkę? Pod obojczykiem?

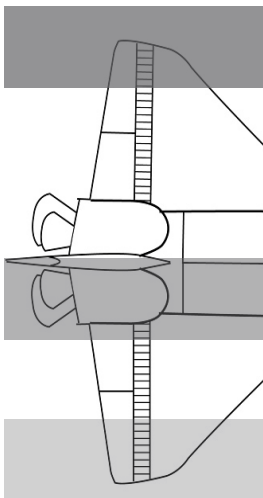
- Nie w tym rzecz - pośpieszył z wyjaśnieniem. - Poniżej 1200 m n.p.m. nie wiem erekcji.

Wzruszyła ramionami.

Poeta Zbynio orgazmodawczyni dobierał rozważnie, pieczołowicie selekcjonując kandydatki. Musiały mieć minimum 25 lat, a maksimum 30. Bardzokochanie młodszych groziło schroniskowymi potańcówkami, starszym nie chciało się wspinać na Szrenicę, czy wdrapywać na Śnieżkę. Nie było ważne, czy blondynka, czy ruda. Nie było istotne, czy chuda jak patyk, czy kolubrynowata. Nawet negatywny stosunek do stosunków en français nie dyskwalifikował żadnej. Liczyło się tylko to, czy jest skłonna oddać mu się w kosodrzewinie i pozwolić, by smakował jej omszałe piersi. I nie chodziło o to, że pożądał biustów twardych jak górskie glazy ani zarośniętych. Po prostu - wzorem kochanków obsypujących piersi kobiet fiołkami, poeta Zbynio pokrywał biusty swoich towarzyszek uniesień seksualnych garściami mchu wyrwanego w ekstazie z ziemi. Szepcząc czule słówka, prosił, usiłując trafić w stojące „habacht” sutki.

Żyjąc od jednego górskiego orgazmu do drugiego, skończył germanistykę. Pracy nawet nie próbował szukać - zadowalając się jałmużnopodobnymi honorariami. W weekendy bardzokochołał czynnie, a zmagającym się z libido poetą był od poniedziałku do sobotniego ranka każdego tygodnia.

Jego poezja z dwóch pierwszych dni po niedzieli była subtelna, zawierała pierwiastki lirycznej i filozoficznej zadumy nad ludzką egzystencją, nad istotą czystej miłości. We wtorki rymował już naturalistycznie, lecz jeszcze był w stanie pisać o duszy, a nie ruchach frykcyjnych. Co środę wieczór stawał się autorem mocno już frywolnych fraszek bez żadnego głębszego przesłania. W czwartki zapisywał kartki notesu sprośnymi limerykami,



Analizę porównawczą opieramy na tekście Ervinga Goffmana „Charakterystyka instytucji totalnych”, który stanowi fragment pracy tegoż autora „Symposium on Preventive and Social Psychiatry”³, a także na jednym z opowiadań Witolda Gombrowicza „Zdarzenia na brygu Banbury”⁴. Oczywiście zakładamy, że interpretacja tego opowiadania w świetle naszych poszukiwań jest ściśle ukierunkowana, ograniczona i nie ma aspiracji, by pretendować do jakiegoś uprzywilejowanego miejsca. W treść gombrowiczowskiej historii wplecione są wątki filozoficzno - egzystencjalne, ale przecież i wiele innych jeszcze odbiegających jakże daleko od terenu, po którym zamierzamy się poruszać. Gombrowicz umieścił akcję opowiadania na handlowym brygu, który w teorii socjologii będzie zaliczany do *instytucji totalnej*. Pokusimy się o analizę utworu pod tym właśnie kątem. W efekcie uzyskamy pewien obraz, który ujawni zbieżne cechy *instytucji totalnej* na jakie zwrócili uwagę obaj autorzy.

Według Goffmana *Instytucje totalne* „pochłaniają część czasu i zainteresowania swych członków i stwarzają im jak gdyby odrębny świat; krótko mówiąc: każda instytucja dąży do ograniczania swych członków. W naszym, zachodnim społeczeństwie możemy wyodrębnić pewną klasę instytucji, które stwarzają większe ograniczenia niż inne. Ich ograniczający lub totalny charakter symbolizują często fizyczne bariery uniemożliwiające kontakt ze światem zewnętrznym: zamknięte drzwi, wysokie mury, zasieki z drutu kolczastego, strome brzegi lub woda, otwarta przestrzeń itd.”⁵

Goffman tworzy dalej typologię *instytucji totalnych*, które dzieli na pięć grup. „Do pierwszej należą instytucje powołane do opieki nad osobami niedoświadczonymi i niebezpiecznymi; są to domy starców, przytulnie dla ociemniałych, żebraków, sierot itd. Grupę drugą stanowią zakłady opieki nad osobami niezdolnymi do samodzielnego troszczenia się o siebie a zarazem – choć nie z ich winy – niebezpiecznymi dla społeczeństwa; są to sanatoria przeciwgruźlicze, szpitale psychiatryczne i leprozoria. Trzecia obejmuje ten typ *instytucji totalnych*, których zadaniem jest ochrona społeczeństwa przed szkodzeniem mu w sposób świadomy. W tym przypadku nie dobro osób poddanych ograniczeniom jest bezpośrednim celem działania instytucji; ich przykładem są więzienia, zakłady poprawcze, obozy dla jeńców wojennych i obozy koncentracyjne. Do grupy czwartej należą instytucje, które są powołane do realizacji określonych zadań technicznych i mają charakter czysto instrumentalny. Należą do nich: koszary wojskowe, okręty, internaty, obozy pracy, osady kolonistów, duże majątki z punktu widzenia mieszkającej w ich pomieszczeniach służby itd. Wreszcie do piątej grupy należą instytucje przeznaczone dla osób, które dobrowolnie wycofały się z czynnego życia, oraz miejsca kontemplacji religijnej: opactwa, klasztory, zakony itd.”⁶

Nasze rozważania będą się zatem odnosiły z jednej strony do podstawowej charakterystyki *instytucji totalnej*, z drugiej zaś do statku handlowego jakim jest gombrowiczowski Banbury, tu rozpatrywanego jako *instytucja totalna* zaliczana do grupy czwartej w goffmanowskiej typologii.

Przytoczmy kilka cech jakie Goffman przypisywał omawianym instytucjom w ogóle:

„ZDARZENIA

NA BRYGU

BANBURY”

JAKO

PRZYKŁAD

INSTYTUCJI

TOTALNEJ

PRÓBA ANALIZY

PORÓWNAWCZEJ

„Co zaś do wersetu: - Ryby i morskie ptaki żerują za okrętem – to brzmi on jak wzór kaligraficzny i w istocie chodzi o to, by wypisać go w mózgach marynarzy perłowym rondem.(...) Marynarze nie mogą przecież szorować bez przerwy tego krr...pr... pokładu, wyszorowaliby go do cna. A karność musi być zachowana, te łajdaki muszą być trzymane w ryzach, kapitan więc wybrał to raczej, niż cośkolwiek innego”

Poniższy tekst można potraktować jako zabawę z interpretacją, wydają się również, iż można potraktować go nieco poważniej. Dokonamy analizy porównawczej dwóch tekstów - jeden z nich będzie natury naukowej, drugi zaś reprezentuje dziedzinę literatury.

Będziemy starali się wykazać analogię, wspólne pola semantyczne², które drażą oba teksty, w celu ukazania procesu doprecyzowania tekstu literackiego teorią socjologiczną i metaforyzacji teorii poprzez literaturę. Opiszemy wzajemną współpracę zestawionych tekstów w procesach poznawczych odnoszących się do przedmiotu, o którym, jak sądzimy, oba teksty próbują mówić.

Przedmiotem tym jest *instytucja totalna*, a precyzyjnie mówiąc - jeden z jej typów.

FINK



a piątkowe ranki zastawały go na płodzeniu quasi-pornograficznych sonetów.

Nocami z piątków na soboty w poetę Zbynia wstępowało seksualne wściekle zwierzę. Już nie atramentem, lecz strumieniami hormonów chlustał na papier, tworząc poetyckie hard-porno, gdzie wyuzdane podmioty liryczne ociekając potem, jęczały w orgazmach i prześcigały się w kuriozalnych perwersjach. Nad ranem przepisywał wszystko na komputerze i „print” wciskał z takim wyrazem twarzy, jakby to był sterzący damski sutek. Nawet nie poprawiał literówek, tylko pośpiesznie zaklejał koperty, liżąc je z lubieżnym uśmiechem na bladych policzkach i - wybiegał z domu. Lawiny obscenicznych strof, które wrzucał do skrzynki na rogu, drukowano mu w podrzędnych „świerszczykach”.

Pozbywszy się koperty zamawiał taksówkę i gnał na dworzec PKP, gdzie czekała go kochanka. Za każdym razem inna. Łachocząc się słownymi dwuznacznikami o seksualnym kontekście - udawali się do Karpacza albo Szklarskiej Poręby.

Opustoszałą latem nartostradą „Puchatek” doszli do pośredniej stacji wyciągu, a potem „Śnieżynką” prawie na sam szczyt Szrenicy. Osiągnięte w ten sposób przewyższenie poziomu morza (1291 m n.p.m.) sprawiło, iż poeta Zbynio, zamiast wspominać podboje poprzednie, coraz większą uwagę zaczął zwracać na Jolę, która pociła się obficie, wlokąc się o kilka kroków za nim.

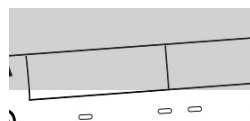
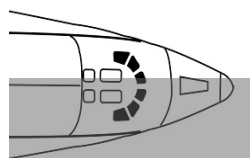
Zarządził krótki postój. Ciężko plasnęła na podpróchniały pień, tak łapczywie łykając powietrze, że falowanie jej biustu przypominało poecie Zbyniowi Bałtyk podczas sztormu. Zlustrował Jolę okiem fachowca. Jego uwadze nie umknęły szeroko rozrzucone kończyny dolne koleżanki, a przede wszystkim drżące ze zmęczenia kolana. Uśmiechnął się.

- Idziemy - nie pozwolił jej odpocząć.

Mimo że opętany przez duumwirat Ducha Gór i demona seksu, poeta Zbynio nie był człowiekiem niezdolnym do pogłębionej refleksji nad własnym jestestwem. W chwilach zadumy zastanawiał się, czy aby nierozzerwalny związek jego życia płciowego z górskimi plenerami nie jest czymś nienormalnym. Kiedy zaś pewna koleżanka wyzwała go od „zбочzonych muflonów” - wyruszył na wędrowkę po gabinetach specjalistów.

Jak to artysta - nie był łatwym pacjentem. Seksuologów zmieniał tak często jak przysłowiowy królik prezerwatywy. Pierwszemu lekarzowi przyrznął w szczękę, kiedy ten beczelnie napomknął o ewentualnej zoofilii, sugerując, iż poeta Zbynio seksując z koleżankami, marzy o osierścionych udach kozic. Biurko następnego psychiatry stało się pogruchotanym świadectwem tego, że pacjent nie zgadza się na wpieranie mu kompleksu Edypa, a tym bardziej Jokasty.

Trzeci i ostatni odwiedzony seksuolog, słysząc, iż badany uwielbia ukłucia kosodrzewiny w pośladki „podczas” - zasugerował flagellację. Wykazał przy tym nie lada refleks, gdyż zdążył powstrzymać rękę poety uzbrojoną w kryształową popielnicę. Lekarz zauważył pośpieszenie, że wielu genialnych poetów miało flagellacyjne skłonności, rzucił garść wielkich nazwisk. Uratował w ten sposób swoje życie oraz wyposażenie gabinetu. Utracił jednak dochody, gdyż diagnoza spowodowała, iż poeta Zbynio doszedł do wniosku, że nic mu nie jest i znów wyruszył na podbój gór i - nie nazywając rzeczy po imieniu - serc kochanek.



Już nie wspinali się, lecz schodzili krętą leśną ścieżynką. Żując gumę Jola nie zdawała sobie sprawy, że poeta Zbynio rozpoczął już grę wstępną. Na razie, tylko w stosunku do siebie samego. Szedł obok Joli, dłonie chowając w kieszeniach sztruksów, a wzrokiem łakomie manipulował przy jej podrygujących piersiach. Ledwie dwadzieścia metrów takiego marszu starczyło, by mógł chrząknąć z zadowoleniem. Już był gotów!

Weszli do kotlinki, gdzie echo było wręcz wspaniałe i z tego właśnie powodu poeta Zbynio upodobał ją sobie. Nie potrafiąc doprowadzać do wielokrotnego orgazmu - odwoływał się do pomocy echa, które, zwielokrotniając finalne okrzyki rozkoszy partnerek, dawało mu poczucie bycia macho, choć były to marne Karkonosze, a nie Sierra Nevada.

W skalistych plenerach tylko przez niewielką część roku panowała odpowiednia dla bardzokochania pogoda. Zimą, jesienią i wczesną wiosną poeta Zbynio żył więc w przymusowym celibacie. Wtedy pisał najwięcej i najbardziej drapieżnie, często wręcz brutalnie, latem natomiast koncentrował się na wprowadzaniu rymów w czyn. Mógł to robić jednak tylko w weekendy - w tygodniu większość partnerek pracowała. Kiedy prognoza na sobotę i niedzielę nie była pomyślna, zostawał w domu albo wyskakiwał na zbocza pobliskiej Ślęży, którą zresztą widywał z domowego balkonu. W dni, kiedy widoczność była szczególnie dobra, każde zerknięcie wywoływało u poety Zbynia erekcję - unikał więc balkonu i czym prędzej zasłaniał okna, by nie wpaść w zgubne szpony onanizmu.

Joli tak się spodobała kotlinka, że na moment zwolniła tempo żucia. Poeta Zbynio chrząknął znacząco i gorączkowo zrzucając ubrania, zanurzyli się oboje w kosodrzewinowy gąszcz. Jola była już zupełnie naga, kiedy on nadal zaciekle walczył z zamkiem od spodni. Przyglądała się temu ze spokojem. Wreszcie rozpiął, zdjął i klęknął. Ich spojrzenia się spotkały. Obecności romantycznej mgiełki w jej oczach nie zauważył...

- Guma! - syknął.

Sięgnęła do plecaczka i podała mu prezerwatywę.

- Nie ta! Wypluj!

- Aaaa... Było mówić od razu... - wypluła.

Sięgnął do chlebaka po kanapkę, rozpakował i rozerwał ją na dwie części. Poczęstował Jolę i żarłocznie się w nią wpatrując, zaczął pochłaniać bułkę z oscypkiem, który działał na niego jak viagra. W myślach wgryzał się w uszy, w szyję Joli... Ona sama raczej nie miała podobnych asocjacji. Mamlala swoją porcję równie beznamiętnie, jak rozglądała się po kotlince.

- Tutaj! - wychrypiał gardłowo, rozwijając karimatę.

Położyła się posłusznie, a on zaatakował jej strefy erogenne z zapalem równym temu, z jakim wczoraj popełniał sonet. Uważając się za wirtuoza gry wstępnej, zerwał prędko garść borówek, nie zapomniał o goryczce trojeściowej. Rozdusił kuleczki w dłoniach, mieszając je z płatkami i rozsmarował na biuście zdumionej tym Joli. Uniosła głowę:

- Ty, co jest?

- Cicho, dopiero zaczynam.

I zaczął. Jagodowy miąższ zlizywał z niej z takim smakiem, jakby delektował się poezją z najwyższej półki. Jedno i drugie uwielbiał w równym stopniu. Trudno orzec, czy Jola podzielała te upodobania.

Było lato, lodówka została we Wrocławiu, lecz poradził sobie, mocząc chustkę do nosa w źródółku. Ściskając ją w garści, skropił okolice pępka Joli lodową wodą,

Jest tak gorąco, że rybie położonej
na kamieniu wypływa coś z oczu.
Jedno mrugnięcie i jesteśmy w domu.

Schodzę do piwnic, okrażam przedmieścia,
źle sypiam, grzebię w złych książkach.

Oprawcy rzadko się śmieją, jak nasi piłkarze.
Jedno mrugnięcie i jesteśmy w domu.
Jest tak gorąco, że siedzę w piwnicy, nie mogę
zasnąć, grzebię w dawno wyniesionych książkach,
potem przrzucam się na rękopisy. W archeologii grywa
się o punkt. Szedłem nocą dobre 40 kilometrów środkiem
drogi, a przez pola mniej niż dwa. Ostatnio tylko okrażam
przedmieścia. Śnieg był miękki i mokry. Znalazłem
poroże i targatem je jeszcze kilometr, dym z ogniska
układał się w poziome pasy. Spałem w skrzyni
z pszenicą zakopany po szyję, a na śniadanie
przesypywałem ziarno w dłoni. Miałem kolegów
i wrogów wedle woli i nic do powiedzenia
z innego powodu niż zapach z ust, chyba że krzyczałem
do mikrofonu. A buty suszyłem na piecu, aż odeszły
podeszwy. Dlatego nie wróciłem?



Ur. w 1964, prozaik, poeta, krytyk literacki. Mieszka we Wrocławiu.

WIDZĄC WSZYSTKICH NIE BĘDĄC WIDZIANYM

Wypić, usiąść na murku, palić,
jeść bułkę z gołąbkiem, skruszyć się
widząc wszystkich nie będąc
widzianym,
jakby się jechało rowerem po burzy,
po grobli, bez roweru, w stanie
z lat osiemdziesiątych, kiedy
wyskoczył
z autobusu w biegu, a to była noc,
a to było zadupie, a to nie było daleko
i nie można się było rozpuścić
w złach, zgubić w śniegu, nie znaleźć.

RĘKOPIS

Skradziono mi rękopis
Tadeusz Peiper

Każdy kościół to jest kościół, umówmy
się, biją dzwony, nie słysząc huku
pod ziemią, wolny jak nocny
autobus na pętli gubisz lewe części
i złe stacje benzynowe. Jeśli pójdziemy
w to dalej, ktoś znajdzie śrubkę
w ziemi, ktoś będzie kręcił, ktoś
się przekręci. Jakiś ptak z węgla,
mięśny zegarek, bardziej niż popiół,
którego się nie (l)śni. Kociot na ptaki
ma same deski. Ktoś (się tam) dostanie.

jacek bierut

CAŁA ŚLĄSKA W CIENIU POLSKA

i strzelam niedopałkiem w kierunku
stacji benzynowej

Darek Foks

Jak nasi piłkarze oprawcy śmieją się
rzadko. Jest tak gorąco, że coś gnije
w oku. Jedno mrugnięcie i jesteśmy
w domu. Niełatwo teraz spać. Jeść

nocą archaiczną trasę. Znaleźć poroże
(czyje?). Lec w skrzyni z owsem.

Okrażam
tylko przedmieścia i pstrykam w ciemno.
Stacje benzynowe nie płoną na widoku.

Jak nasi piłkarze oprawcy śmieją się
rzadko. Robi się tak gorąco, że rybnie
leżącej na kamieniu wyptywa
coś z oczu. Jedno mrugnięcie i jesteśmy

w domu. Nie mogę zasnąć, schodzę
do piwnicy, grzebię w wyniesionych
książkach, niechętnie przerzucam się
na rękopisy. W archeologii przegrywa się

o włos. Szedłem nocą starą trasą,
śnieg był miękki i mokry. Znalazłem
poroże i targatem je do wioski,
zasnąłem w cudzej skrzyni z owsem.

Zakopałem się po szyję. Śniadanie
miałem
w kieszeni zamiast kolegów i wrogów.

a ona, nieco skonsternowana, nie mogła się doczekać, kiedy przejdzie wreszcie do konkretów. Przeszedł po jakimś kwadransie. Jego palce, przez cały ubiegły tydzień wirujące po klawiaturze, teraz rozbiegły się po jej ciele. Tu i tam przystawały na moment, co sprawiało, że Jola była coraz bardziej zadowolona z wycieczki, a poeta Zbynio, posypując jej biust mchem, szykował się do bardzokochania.

- Teraz! Już!!! - zabrzmiało z jej ust niczym róg bojowy Wikingów.

Na to hasło - parafrazując znanego liryka - wąż poety wpelzł do skarbu Joli. Biorąc pod uwagę stopień seksualnego rozgorączkowania obojga - został tam raczej gwałtownie wpelźnięty. Jak zwał, tak zwał, jedno było pewne - należało teraz przystąpić do wykonywania ruchów posuwisto-zwrotnych. I poeta Zbynio przystąpił.

- *Vorwärt - zurück! Vorwärt - zurück!* - jako germanista i germanofil w jednej osobie wydawał sobie komendy, ale w duchu tylko, gdyż był džentelmenem, a duszę miał romantyka.

Było mu wspaniale, choć brakowało subtelności brzęku tatrzańskich owczych dzwonek. Towarzyszyło im tylko bzykanie i to nie hiszpańskich much, lecz karkonoskich trzmieli, które w odróżnieniu od Zbynia robiły to n a d kosodrzewiną.

Igiełki krzewów kłuły poetę w pośladki, pobudzając krążenie ku aplauzowi ciał jamistych, a podmuchy halnego skutecznie studziły genitalia artysty. Jeszcze chwila! Już prawie!

Bardzokochał coraz szybciej, pod nosem pogwizdując „Krzesanego”. Jeszcze kilkanaście sekund! Jeszcze tylko kilka! Charakterystyczne świerzbiecie w lędźwiach uświadomiło mu, że choć jest na samym dnie kotlinki, to szczyt już niedaleko. Zaraz... Juuu...

Ostry, przenikliwy gwizd wstrząsnął poetą. Zbynio zamarł.

- A jednak, cholera! - zaklął pod nosem - Znowu!

O żadnym *vorwärt - zurück* nie było już mowy, a przecież cały tydzień żył nadzieją na erotyczne uniesienia! Teraz pozostało mu już tylko... unieść głowę. Uczynił tak i ujrzał to, czego się spodziewał i obawiał. Ubiegłej niedzieli było tak samo: w kępie kosodrzewiny, w której prawie-prawie orgazmoszedł, aż roilo się od cynicznie poruszających beczelnymi pyszczkami świstaków! Stado otaczało poetę Zbynia i Jolę ciasnym kręgiem. Zwierzęta stawały słupka, świstały, robiły wrażenie zataczających się ze śmiechu.

Patrzył na nie z rozpaczliwym obrzydzeniem, mając nadzieję, że to fatamorgana. Jednak Karkonosze, to nie Sahara i świstaki ani myślały zniknąć, w odróżnieniu od erekcji poety. Jola, o ile wcześniej ekstatycznie wbijała paznokcie w kark i plecy Zbynia, tak teraz, sardonicznie się uśmiechając, głaskała puszyste świstaczatko bawiące się sreberkiem po prezerwatywie.

Oczy poety Zbynia załśniły łzami. Już wiedział, że ani nie orgazmoda, ani nie orgazmoweżmie. Nie wiedział natomiast, co go denerwuje bardziej: czy to, że świstaki natrząsają się z niego, czy też fakt, iż w ogóle nie powinno ich tu być.

- Przecież te bydlaki żyją tylko w Tatrach, a to Karkonosze, do jasnej cholery! - jęknął głucho i rozplakał się.

Wrocław, 10 czerwca 2004
chatnoire@airport.wroclaw.pl

obuchowicz joanna

Jest młoda i dobrze się zapowiada,
pisze, tańczy, mieszka w Irlandii.
W przygotowaniu tomik (wyd. Adwers)

gęsia skórka

jakgdyby na niby i jakby
stąd dokądkolwiek miał pójść swąd palonego
niczego. nie trzeba przelewać
na papier. na jutro zostanie na dnie
ciemniejszego niż zwykle szkła ciemne piwo
a pierwsze słowo nie dotknie dobrego dnia.

czas pączkuje szybciej i ma smak utartej
pomarańczowej skórki, owsianki, tęsknoty
jaj za skorupką,

tea time

i mam nożyczki i służą mi one do podcinania
gałęzi na której siedzę. i mam:
dom na kółkach, cheddar na chlebie
którego nie da się przełknąć itself
(bo podręczniki kłamią - w rzeczywistości
jesteśmy dodatkiem do „it”) mitem jest
nieboza pięćset, za trzysta można mieć nic
a jednak
tea time

siedzę z założonymi za głowę rękoma
sączę to lato którego brak
doskwiera mieszkańcom wybrzeża:
uczę się cenić każdą omyłkę w prognozach:
mój płaszcz przeciwdeszczowy ma dosyć wad -
zwrócę go japończykom.

tea time

z mlekiem i herbatnikiem
za który płacisz blondynom (choć ruda
gniotła go w ręku) bo pan o'x czy o'y
miał chęć dotykać nadgniłym palcem meszek
pod nosem: milk, porridge, poached egg, marmo-
lade,

gęsia skórka - efekt telewizyjnej kampanii
na rzecz czystych płuc, czystych serc,
brudnych, usłanych petami chodników
podczas płynących guinness'em bank holidays

i szkoda zostać a trochę strach wyjść bo:
killing outfit has a strict meaning here, bo
gęsia skórka, bo stopni dziesięć, bo
sztuczne słońca niemodne a w szary dzień
ciężkie przedmioty same się pchają do rąk.

tea time, wheelchair, commode, nappy-change,
switch the light off all together, thanks.
sleep well.

FRAGMENTY KSIĄŻKI 'MAŁY TYDZIEŃ'

sygnał nadszedł ze pochłania samochod, dowożący i podwożący, szarogęsiący się w obejściu gestów i decyzji. Ciało zaczyna się sadowić. Skomputeryzowało się, podłączyło do telewizora, ma wiele kanałów, wymachuje pilotem. Tęsknię do innych układów z ciałem, ze światem.

Czym jest praca? Zauważ tę chwilę, kiedy karteczka z napisem „czym jest praca?” pojawi się na twojej ścianie. Chciałem napisać – korkowej ścianie, ale nie, twoja ściana nie jest korkowa.

Moja ściana nie jest korkowa. Jest zimna i szklana. Nieustannie drży. Nawet w nocy przejeżdżają jakieś ciężarówki. trzeba szybko z rana biec do komórki, żeby nanieść węgla i drewna. Ściana musi być ciepła. Potem rozsuwamy zasłony.

Widać szare kamienice naprzeciw, zrywają się stada gołębi tęskniących do ciepła usmolonych kominów. Słychać szurgot szuflki walczących ze śniegiem, tupot drobnych stóp udających się do szkoły. Szeleszczą siatki na zakupy, ocierające się kable wydają metaliczny dźwięk. Trzaskają drzwi sklepów, strzelają błyski światła, samochody tłoczą się w uliczce jak krew w arterii, kolejne jej porcje. W bramach stoją mężczyźni i raczą przechodniów sentencjami. Przeżyli swoje, teraz piją wino. Na butelkach są fantazyjne naklejki, egzotyczne nazwy. Potem te butelki rzucone w śnieg zbiera mały chłopiec w czapce z daszkiem. Kiedyś będzie maszynistą pociągu dalekobieżnego. (...)

Moje ciało jest tutaj. Ten fotel jest zajmowany przeze mnie. To okienko podsuwa mi widoki. Jeżeli tu zgine, to na dobre. Nie ludź się, że jakaś część świadomości zostanie w miasteczku i nazajutrz, szurając za dużymi butami, pójdzie do pracy. Ciemność ogarnie wszystko, nic się nie wymknie. Na razie lecę. Patrzę w dół i widzę ten osławiony porządek rzeczy. Za chmurami inne życie, drugi świat.

W dole jeziora jak kaluże po deszczu, szachownice pól i łąk, rozsiane osady i cały ten świat tonący w mroku zachmurzenia. I mąż tam krzyczy na żonę w tym mroku, dziecko płacze w ciemnym pokoju, pies wyje na zardzewiałym łańcuchu. Jest im źle i ciężko, zaraz będzie padać albo już pada, coś się przechyli i powoli zsuwa z krawędzi wytrzymałości. I to jest jedna wielka fikcja, jeszcze większa niż literatura. Bo na górze cały czas świeci słońce. Ponad chmurami wielkie mleczne przestrzenie zalane słonecznym blaskiem. Góry i doliny z chmur, jeziora i oceany z chmur, wioski i miasteczka z chmur. Inny świat. Być może to właśnie w nim przebywają dusze po śmierci. Nie wiem tego, bo mam tylko oczy. Ale gdy je zamykam, widzę ojca, dziadka i wielu innych zakopanych, zalanych betonem. Tutaj są u siebie. Przede wszystkim widzę matkę. Po to wsiadłem do samolotu, po to lecę nim pierwszy raz w życiu, żeby zobaczyć matkę jak żywą. Zobaczyć ją uśmiechniętą, wolną, szczęśliwą. I zrozumieć, że wybacza mi samotną śmierć w domu starców. Nie było mnie przy niej. Ale w przyrodzie nic nie ginie. Sprawiedliwość spływa z chmur i dopada ze stoickim spokojem. No to ja też będę zdychał jak pies, zostawiony na pastwę losu przez wszystkich.

KAROL MALISZEWSKI

Stanów Zjednoczonych, ale w Polsce postanowiono zająć się tą sprawą poważnie. Wzięto przykład z selekcji, jaką stosują producenci filmów pornograficznych. Tam granicą jakichkolwiek rozmów jest osiemnaście centymetrów. I jeżeli można zacytować, to przytoczę. „Rozumiecie więc, co zaczęło dziać się wokół. Wokół jak wokół, ale we mnie samym, w moim sercu. Jakie drżenie, jaki ból. Ukrywam się już siedem tygodni.” I potem następują opisy przygód bohatera. Raz nocuje w słoju siana, innym razem podgląda niewidomą tancerkę. Pod koniec robi się z tego typowa powieść psychologiczna. Wpływamy na morze wewnętrznych monologów bohatera zaszczonego niczym kalekie dziecię w starożytnej Sparcie. W końcu sam kładzie głowę pod topór, to znaczy skacze z Pałacu Kultury i Nauki, gdzie urządzono nawet specjalne pięterko z wybiegiem dla samobójców. Wszyscy faceci z małymi fiutami mogą sobie tam spokojnie skoczyć. Jednostki wybitne są wylapywane przez strażaków, reszta roztrząskuje się na bruku. Co jest niejasne? O, pan z wąsikami się odezwał... Czyśmy razem nie debiutowali w „Okolicach”, czasopiśmie Korespondencyjnego Klubu Młodych Pisarzy? Dałbym sobie... W lipcu roku 1978 to było... Więc dwa piętra niżej ulokowano strażaków. Wysuwają siatkę na paląku i łapią wartościowych. Specjalna Komisja pracująca nawet w nocy zatwierdza i ustala listy jednostek potrzebnych. Śledzi się takich delikwentów i kiedy skaczą, wychwytuje. Potem czeka ich kwarantanna w ośrodkach lecznictwa zamkniętego i po kilku miesiącach wracają na łono społeczeństwa. Wyleczeni, spokojni, z operacyjnie przedłużonym członkiem. To taki prezent od rządu. Jesteś wartościowy, to my ci pomożemy. Rękę do ciebie wyciągniemy. I tą rządową ręką członka ci naciągniemy w rządowej klinice. Będiesz teraz prawdziwy samiec, członek uratowanej przyszłości, a nie jakiś chłystek, konus, kauzyperda. (...)

Musisz być świadom najmniejszego ruchu. Co robi ten palec wzniesiony ku górze? Drży ręka i zaczyna swój taniec wokół kubka z kawą. Długo tak drżała, długo tak krąży? Zatrzymać rękę, inaczej rozsunąć palcami gęstą ciszę. Niech sobie paluszki nie drobią czegoś na boku, niech mięśnie nie wybrzuszą się w ironiczne grymasy, niech głowa nie drży i nie odlatuje sama. Kim jestem, jeżeli tek? Jakimś lewym enterem na klawiaturze, przyciskany przez byle kogo, byle jak. Istotność zaczyna się od dokładnie obliczonego gestu, od propedeutyki mięśni i ścięgien, od ciała w myślowym porządku, potem idzie cała reszta, łącznie z zeszytem wychwytyjącym wzniosłość. Przecież widziałem w Poznaniu, jak poruszały się po boisku najtęższe głowy pokolenia. Jest w nich jakaś pierwotna ikra, feeria ruchu, festiwal gestów. Ciała wysyłane do walki, a potem dopiero do poetyckiej abstrakcji. Ciało jak zaczyn myśli, jego sprawność, pantomimiczna gorliwość, werwa.

U siebie obserwuję zamieranie ciała. Jeszcze tylko ostatnie mecze z kolegami syna na przyszkolnym boisku. Jeszcze tylko mechaniczne wypadły w góry, po dwadzieścia kilometrów z dziećmi z kółka turystycznego. Dawną ruchliwość

some things, sometimes.

obuchowicz joanna

przeklinam porty lotnicze i wszystkie imiona rozpięte
w przybitych do portów dłoniach oczekujących przybicia do portu.
niech będą przek łęte książki które pisały się same i

niech nie dzwonią po mnie więcej by sprawdzić czy jeszcze żyją
ci którzy mają umrzeć przed nami. niech wreszcie przestaną naciskać
spust bezradności, niech zajmą się przesuwaniem ścian siłą woli
czy czymś w tym rodzaju. wysyłam do diabła
starość i reumatyczne zmiany rozpruwające krzykiem
czwartą nad ranem. niech piekło pochłonie
fabryki przewidzianych zgonów, właścicielki
wiecznie suchych oczu i ich białe fartuchy. niech szczeną
fundamenty domów których adresy znam z pakowego papieru - nadawcy
wysokostopnych napojów i herbatników unieważnionych
jakiś czas temu.

po nocach rozglądam się okiem latarki
(wciąż opatrzone widokiem wielkiego wozu
szynopis podróży do środka koła: bo co,
jeśli jasnowidzący kłamią
z odkorkowanych zawczasu butelek
patrzac na nas konają ze śmiechu?
jeśli wśród niezliczonych zestawień cyfr
dokonali odkrycia braku liczby szczęśliwej
wiedzę tę zachowując dla siebie?
jeśli kolejne azyle okażą się wysypiskiem
lub -gorsza wersja- grzybem
co będzie zbierał deszczówkę
następnych tysięcy lat
obsesyjnie dodając wartości ujemne?)

śpiewam jeszcze, niezręczne wierzenia rozwieszam
na ciemnoszumiących drzewach podczas gdy
moje plemię porozumienia szuka w półśnie. nie
robię użytku z ostrych słów, stępiłam ościenie chowane
na szarą godzinę co bije w sercach
niewinnie rozpartych w fotelach wrózek, odbiera porody
życzenia najszybszej z możliwych
i spęta na niczym.

przeklinam porty lotnicze i wszystkie imiona rozpięte
w przybitych do portów dłoniach oczekujących przybicia do portu.
niech będą przekłete książki które pisały się same.

KAROL MALISZEWSKI

Stawiam pierwsze zdanie. Jak pierwszy krok. Należało wcześniej. Zrobić go wcześniej. Wiele rzeczy uciekło z pamięci. Żywe obrazy, soczyste przekleństwa. Przyniosłem zimny, wilgotny zeszyt z piwnicy. Tam ich całe sterty po uczniach. Po ich pracach klasowych. Wyrwałem zapisane kartki i jeszcze tyle dla mnie zostało. Onieśmiela mnie ta biała przestrzeń. Gdzieś tam odcisk serdecznego palca, plama z atramentu, przyklejony włos. Oddzielili mnie od tych słodkich dziewczyn, od ich śliny pod kolorowanymi obrazkami, zwolnili. Jestem bezbronny, bezrobotny. I co my z tym zrobimy?

Bo założyłem że ja straciłem wiarę w literaturę. Zawsze była tym ważnym tłem, jakoś legitymizowała kolejny dzień, dodawała mu znaczenia. Wychowałem się w pijackim domu pełnym książek.

„Szczęśliwe dziecko dwóch nalogów” to tytuł artykułu o mnie w „Kurierze Przygranicznym”. Nalóg czytania odziedziczyłem po starszym rodzeństwie. Tyle tylko, że wcześniej od nich zacząłem czytać i chodzić do biblioteki. Pokazali mi drogę do niej, gdy miałem pięć lat. Teraz mam czterdzieści cztery i dalej nie mogę obejść się bez książek.

Ale robię to bez przekonania. Niby czytam, bo co mam robić w tym miasteczku, ale nie pada z tego to szczególne światło, co zawsze padało, nie bije łaska. Więc zdechło coś i to nie wiadomo kiedy, nie wiadomo na jak długo. Mam nadzieję, że na krótko, bo nie da się żyć bez tego, bez tego pozytywnego ssania, bez poczucia, że literatura zbawia świat i mnie samego, a jeśli nie zbawia, to daje mu coś w rodzaju sensu i patrzysz na swoje zaplute miasteczko jak na poniemiecki cud świata pełen mitów i legend, jak na jakieś exemplum, symbol czegoś większego, sudeckie zakotwiczenie transcendencji. Bez tego odgórnego oświetlenia gównem znowu czuć gównem, zaszczana brama jest zaszczaną bramą, zdychający menel („zrób złotówkę”) nie ma nic z herosa, a ktoś taki jak ja, to tylko zwykły Kaszczyk, Kasprzyk, Kwiecień czy Kościan. (...)

Jak widzę te ryje w telewizorze, to szybko go wyłączam. Już tylko filmy sensacyjne oglądam, bo tam zwycięża prawda, dobro, sprawiedliwość. Taki amerykański mit. Bo te filmy to wszystkie amerykańskie. A te Leppery, Giertychy, Millery i inne poszczekujące na siebie głowy obrzydliwie do cna – mówi nagle Kaszczyk. Jakim prawem tak absorbują naszą uwagę, robią sensację z byle pierdniecia, to nie są jakieś wybitne umysły, więc dlaczego oczekują od nas adoracji, codziennego wnoszenia na rodzinny ołtarzyk. Niech wypierdalają – dodaje cichym głosem Pieczara. Stoją w korytarzu, usiłując się wyminąć z wiadrami pełnymi węgla, tak jakoś niewyraźnie manewrują i mruczą pod nosem.

To dziwne, co telewizor robi z ludźmi. Tylko się jakiś nowy w nim pokaże, a już za dwa dni mówi się o nim, że szmata. Że donosił, korumpował, molestował, onanizował się publicznie w sześćdziesiątym siódmym albo coś w tym

FRAGMENTY KSIĄŻKI 'MAŁY TYDZIEŃ'

rodzaju. I że ma teczkę, która ciągnie się za nim jak dupa za pawianem. I patrzysz na tego sympatycznego człowieka jak na ostatniego (słowo niecenzuralne). Obrzydli ci go. On się oczywiście broni, adwokatów wynajmuje i tak dalej, ale to wszystko na nic. Ja już na niego nie pójde głosować. A jak oni się tak wszyscy wykończą nawzajem, gównem równo obsmarują, to kto zostanie? Na kogo ja pójde głosować? Powinni dać sobie na wstrzymanie, bo nam demokracja padnie i kilkuprocentowa frekwencja na wyborach będzie czymś normalnym, powinni się dogadać i jednego czystego dyżurnego w danej partii zostawić. Chłopaki, gramy ostro, ale tego w białym garniturku nie ruszamy, błotem nie obrzucamy, bo to będzie nasz bufor, nasz społeczny lep, on nam elektorat przyciągnie, a my potem dalej będziemy robić swoje, okey? (...)

Czy następne zdania złapią Rzeczywistość za nogi, czy raczej ugrzęzną w mojej prywatności, jak to słusznie zarzucił pan z Wrocławia, w „bezsilności lalki Barbie, która chciałaby zająć w ciąży z Kenem”. Ken jako rzeczywistość? Zapłatać – ważny trop tego świata, tego tekstu (Falkiewicz). Zapłatać. (...)

Więc autor wydał dyspozycję i rozeszła się po kraju owa lista. „Kurwa, ja je zawsze sobo”. Godne pozazdroszczenia. Ale o czym to, aha, więc nawet pan Kleks, ten ulubieniec naszych milusińskich, nie jest poza podejrzeniami. Czy częstowaliście go już bigosikiem w warsie? Otóż, co robił ów mąż... Przypomnijcie sobie państwo stosowne fragmenty. Kontrolował sny swoich uczniów. Wyrokował o ich wartości, wybierając tak zwane najlepsze, z których wyciągał esencję i z tego lepił te swoje pigułki nasenne. Sugestia jest być może niepojęta i nie na miejscu, ale wciąż odnoszę wrażenie, że moje sny są również kontrolowane, a jakiś pan Kleks naszych czasów trzyma nas wszystkich w rękę, trzyma za wnętrza nasze i sny. No bo jak wytłumaczyć sobie fakt, że zaledwie na dzień przed spotkaniem się w tym oto gronie, miałem sen zasadniczy, to znaczy dotyczący zupełnie analogicznej sytuacji. Przepraszam bardzo, ale czy możecie wpłynąć państwo na obsługę włączającą bez przerwy „Radio Maryja”? Nie irytuje mnie to, lecz dekoncentruje.

W interesującym was okresie pracowałem nad opowiadaniem będącym dalszym ciągiem tekstu zamieszczonogo w antologii Wydawnictwa Literackiego. Pomysł opowiadania wzięty był ze snu. Tam również stałem przed jakąś komisją. Tutaj siedzę sobie wygodnie. W tym wszystkim jest chyba jakiś lęk kastracyjny. Że te komisje mi się tak sni. Ocenianie, przesłuchiwanie, wypisywanie zaświadczeń. Że jestem normalny, że mogę być nauczycielem, że nie jestem homoseksualistą. I tak dalej. W tamtym opowiadaniu znów wróciłem do Polski z 2057 roku. Zabroniono poezji, zabroniono wolności ducha i jeszcze dodatkowo rozpoczęto pracę nad nowym modelem genetycznym prawdziwego Polaka. Naukowcy odkryli, że ludzkość czeka zagłada. Zauważono, że mężczyznom maleją członki. Pierwszy niepokojący

spis treści

Bruno Lef Lewin	3
Mariusz Grzebalski	4
Edward Pasewicz	6
Robert Rybicki	8
Piotr Janicki	10
Jarosław Kolasiński	11
Joanna Obuchowicz	16
Karol Maliszewski	18
Jacek Bierut	22
Karol Pęcherz	24
Wiersze z witryny	32

Box

Sonora

otwierając oczy permanentnie wlepiała
oczy w sufit szukając sensu dnia
powszedniego kolejny dzień kładący
cień na poczynaniach niezdecydowanej
osobowości z zapytaniem co dalej

perlustacja dokonań a raczej porażek
smutek wydobywał się kącikiem ust lekko
wykrzywionych ku dołowi poczuła ciężar
sufitu który nabrzmiewał do wielkości
ogromnego indywiduum

który przygniatał jakby chcąc z nią kopulować
uniosła się lekko rozchylając uda dając
do zrozumienia swoją uległość wszyscy
tego chcieli nieważne kto i z kim była kobietą
zachodzącego słońca

to ostatnie akordy przemijania pośliznęły
pigment ścielący dywany zapomnienia który
unoszony chichotem wiatru odwracał się
od rzeczywistości holdując schizofrenicznym
zachciankom spotkania

prince charmant

Grzegorz Winkel (janc)

Nie jestem fajnym facetem

Wieczór ponownie wymusił milczenie

wiem wiem nie jestem fajnym facetem
nie mam fizyczności klasycznej
postury - obiektu westchnień plażowiczek
dwuczęściowych skąpych w IQ kandydatek do tytułu
rozchylających uda na słońce i wiatr (plus setki oczu)
ani kur domowych ponętnych ciełco poszukiwaczek
uzbrojonych pełnym koszem z listą sprawunków w dłoni

przemykam w pośpiechu po muszlach w chodniku
spod brwi (wnuk Breźniewa) zabijam spojrzeniem
pejoratywnie (inaczej mówią niemożliwe)
słowem zniechęcam pokolenia jeszcze nienarodzone
wypominam historie miłosne

mimo to zarzuć dłoń gdzieś między łopatką a korzonkami
wciśnij zachłannie piersi między spięte zebra
zrób to w takim razie
choć w zapisie cyfrowym
(słowem)